

Bez zielonej fali?

Bartłomiej Kozek

Pięć lat temu Zielonym udało się utrzymać pozycję czwartej siły w Parlamencie Europejskim - tym razem sztuka ta może się nie powieść. Dlaczego?

Większość prognoz na bazie sondaży w poszczególnych państwach członkowskich Unii Europejskiej daje Grupie Zielonych w przyszłym Parlamencie Europejskim około 40-45 mandatów. Zieloni nie tylko nie prześcigają słabnących liberałów, o czym marzyli od lat, ale przegrywają z formacjami zgrupowanymi we frakcji radykalnej lewicy. Nie mogą też mieć pewności, czy nie zostaną wyprzedzeni przez grupę konserwatystów, której trzonem są partie z Wielkiej Brytanii i Polski (Prawo i Sprawiedliwość).

Choć fatalistyczny scenariusz nie jest bardzo prawdopodobny, to jednak nie da się wykluczyć, że np. rozpad eurosceptycznej frakcji EFD (w której znajdziemy m.in. UKIP czy Solidarną Polskę) i powstanie nowego ugrupowania wokół francuskiego Frontu Narodowego oraz holenderskiej Partii Wolności może zepchnąć Zielonych do roli najmniejszej frakcji przyszłego Europarlamentu.

Miraże historycznego determinizmu

Zieloni, na każdym kroku lubiący powtarzać, że ich postulaty polityczne jako jedyne nakierowane są na lepszą, bardziej ekologiczną oraz sprawiedliwą społecznie przyszłość, muszą czuć się tym faktem zakłopotani. Po roku 2008 zielona fala miała przecież ogarnąć kontynent i zmienić formacje ekopolityczne w nowe, masowe „partie ludowe”.

Dobry wynik w wyborach do Parlamentu Europejskiego w roku 2009, a jeszcze bardziej - pierwszy kierowany przez Zielonych rząd koalicyjny w Badenii-Wirtembergii zaostrzyły apetyty. Ambicje nawet nowych partii, takich jak węgierska Polityka Może Być Inna (LMP) bywały śmiałe - tu i ówdzie myślano nawet o zastąpieniu socjaldemokracji jako głównej, progresywnej siły politycznej.

Oczywiście nie ma co skazywać na półtora miesiąca przed wyborami Zielonych na klęskę. W trakcie kampanii zawsze mogą się zdarzyć nieprzewidziane zwroty akcji - jak w roku 2009 we Francji, kiedy to Zielonym przysporzył głosów... telewizyjny film dokumentalny.

Pamiętać też należy o tym, że do pierwszego posiedzenia Europarlamentu liczebność frakcji pozostaje kwestią otwartą - istniejące już wcześniej partie narodowe zmieniają afiliację, a nowi gracze zastanawiają się, do której grupy jest im najbliższej. Pięć lat temu frakcja Zielonych w PE poszerzyła się m.in. o szwedzką Partię Piratów, a dziś trwają spekulacje na temat tego, czy włoski Ruch 5 Gwiazdek nie będzie próbował przyciągnąć komika Beppe Grilo.

Reformy czy rewolucja?

Widać jednak wyraźnie, że utrzymanie frakcji ok. 55 mandatów będzie dla Zielonych/Wolnego Sojuszu Europejskiego trudnym, jeśli nie niemożliwym zadaniem. Choć w dużej mierze spowodowane jest to sytuacją na szczeblu narodowym (np. obecnością - jeszcze do niedawna - w niepopularnym socjalistycznym rządzie we Francji czy w przypadku holenderskiej Zielonej Lewicy podnoszeniem się po fatalnych wynikach wyborów parlamentarnych), to jednak jeden problem wydaje się rzucać w oczy - wyczerpywanie się zdolności do mobilizowania elektoratu za pomocą modernizacyjnej wizji Zielonego Nowego Ładu.

Na pierwszy rzut oka wydaje się to nieprawdopodobne - mówimy wszak o koncepcji, która 5 lat temu dała sukces Zielonym w Parlamencie Europejskim. Należy podkreślić jej ogromny potencjał z uwagi na fakt, że partie ekopolityczne rzadko kiedy miały okazję do jej praktycznego wdrażania.

Sęk w tym, że na przełomie lat 2008/2009 byliśmy w zupełnie innym punkcie kryzysu niż dziś. Gdy kapitalizm finansowy zachwiał się w posadach pojawiło się więcej miejsca na krytykę neoliberalnej ortodoksji i na proponowanie śmiałych reform systemu.

W roku 2014 jesteśmy po działaniach Troiki i paru latach polityki cięć i zaciskania pasa, której miłośnicy usilnie przekonują, że dla kuracji tej nie było alternatywy. Niemrawe, ale jednak poprawiające się wskaźniki ekonomiczne dla zwolenników tejże polityki stanowią dowód na to, że przynosi ona efekty.

Logiką tą posługuje się tak konserwatywno-liberalny rząd Davida Camerona w Wielkiej Brytanii, jak i Viktor Orban, który wprowadzenie przez swą partię Fidesz podatku liniowego i programu przymusowych robót publicznych przedstawia jako dowód skuteczności swych działań w postaci umiarkowanego wzrostu gospodarczego oraz spadającego bezrobocia.

Opary grozy, promienie nadziei

Dodajmy do tego coraz gorszy odbiór medialny niemieckiej transformacji energetycznej w kierunku rozproszonej, demokratycznej energetyki odnawialnej, jak również rosyjską aneksję Krymu, tworzącą żyzny grunt do powrotu takich pomysłów, jak postulowane przez Donalda Tuska „rehabilitacja węgla”, eksploatawanie gazu łupkowego (będące obiektem sporych kontrowersji nie tylko w Polsce, ale też np. w Wielkiej Brytanii czy Rumunii) czy wzrost wydatków na zbrojenia. W efekcie, klimat na zieloną politykę znika w oparach, przywodzących na myśl rocznik 1914...

W rezultacie, coraz więcej przestrzeni po obu stronach sceny politycznej mają szanse od maja zająć siły kwestionujące status quo silniej niż Zieloni i nieporównywalnie bardziej radykalne.

Ich wzrost może zbliżyć do siebie główne siły proeuropejskie - chadeków,

socjaldemokratów i liberałów w PE, przyczyniając się do zacierania różnic między nimi. Napędzi to wśród wyborczyń i wyborców kolejną falę rozczarowania Europarlamentem, w którym ich głos nie wpływa na znaczącą zmianę unijnej polityki.

Brzmi pesymistycznie? Zawsze w takiej sytuacji staram się pisać, że chciałbym się mylić - tak jest też i tym razem. Z nadzieją patrzę na dobre sondaże Zielonych w Austrii i w Szwecji. Trzymam kciuki za to, by Zieloni na Wyspach Brytyjskich zwiększyli posiadania liczbę mandatów i w ten sposób zrekompensowali nieco straty, przewidywane w Niemczech i we Francji. Nie bez szans na swoją, zieloną reprezentację w PE są Węgry, Czechy i Chorwacja. Kto wie, co stanie się w Polsce, jeśli tutejsi Zieloni zarejestrują listy w całym kraju - po raz pierwszy w historii?

Piłka nadal jest w grze!